Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 258 (Rok XIV, Nr 21) 15 listopada 1954 Cena (Price) 1/6

CODZIENNA WALKA

Z NATURY ustroju komunistycznego wynika, że walka polityczna w Polsce nie odbywa się w postaci efektownych i w jednym punkcie skoncentrowanych wydarzeń, ale w postaci masy drobnych i w najrozmaitszych miejscach odbywających się wypadków. Ostatnio zwróciły na siebie uwagę wiadomości o skasowaniu wydziałów teologicznych uniwersyteckich i zamiarze powołania zamiast nich jednej akademii duchownej na Bielanach pod Warszawą, kierowanej przez księży spośród tzw. katolików reżimowych. Ważniejszy jednak bodaj, choć mniej charakterystyczny jest inny objaw walki z religią. Z początkiem tego roku szkolnego zniknęła lub prawie zniknęła nauka religii ze szkół podstawowych.

Zniesienie nauczania religijnego w szkołach nie było nigdy uroczyście zadekretowane. Początkowo zachowano prefektów we wszystkich szkołach państwowych, lecz stworzono Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, które otrzymało fundusze na zakładanie szkół wzorowych, lepiej wyposażonych i prowadzonych w duchu wyraźnie ateistycznym. Liczba tych szkół stale się powiększa kosztem szkół państwowych. Równolegle z tą akcją pod najrozmaitszymi pozorami znoszono w ostatnich latach lub zawieszano stanowisko prefekta w coraz większej ilości szkół państwowych. Obecnie wszędzie, lub prawie wszędzie nauka religii znikła ze szkół. Dzieci mogą pobierać naukę katechizmu tylko w godzinach pozaszkolnych i tylko w kościele. Komuniści robią co mogą, by udział dzieci w tej nauce utrudnić lub uniemożliwić. Jest to walka bez rozgłosu i z tysiącem lokalnych wariantów.

Inny rodzaj walki komunistów ze społeczeństwem ujawnia kampania przedwyborcza do rad gromadzkich. Komuniści znieśli wprowadzoną niegdyś przez Rosję, a rozszerzoną za czasów sanacyjnych na całą Polskę gminę zbiorową, wprowadzając w jej miejsce gminę jednowioskową. Przyczyną główną są gospodarcze zadania kontroli nad dostawami wsi, które to zadania gmina zbiorowa spełniała bardzo źle. Przy okazji kampanii wyborczej wychodzi na jaw wiele szczegółów. Okazuje się, że rady gminne „spały“, to znaczy, że chłopi przyjmowali mandat jak najbardziej niechętnie i robili najmniej jak można, tak że tylko sekretarze gminni działali, a radni ich hamowali.

Okazuje się także, że wiele kołchozów jest fikcją. Są kołchozy, które są spółkami zamożniejszych gospodarzy, prowadzonymi rodzinnie. W wielu kołchozach „spółdzielcy“ zamiast pracować na gruntach spółdzielczych pracują jako robotnicy na nieskolektywizowanych gospodarstwach w sąsiedztwie, a dopiero w wolnym czasie przychodzą pomagać w kołchozie.

Fikcją także okazuje się duża część istniejących tylko w sprawozdaniach zespołów kulturowych, świetlic i stowarzyszeń wiejskich. Wreszcie uchwały gromadzkie dowodzą, że towarów miejskich jest na wsi wciąż brak dotkliwy, a stan dróg bardzo zły.

Charakterystycznym także szczegółem jest, że jako wzorową spółdzielnię podaje się Lisków, słynny od dziesiątków lat, zorganizowany na zasadach rzeczywiście spółdzielczych, a nie kolektywistycznych przez ks. Blizińskiego.

ATOMY I WOJNY

Dyskusje w Organizacji Narodów Zjednoczonych na temat pokojowego zużycia energii atomowej rozszerzane są coraz bardziej i prawdopodobnie staną się jednym ze stałych tematów obrad. Optymiści przypuszczają, że będzie to początek ery pokoju, realiści zaś sądzą, że dyskusje tego rodzaju nie przeszkodzą wojnom.

Propozycje amerykańskie z początku tego roku zmierzały do powstania kontroli i współpracy międzynarodowej nad rozwojem pokojowej produkcji energii atomowej. Zapowiada się obecnie, że Sowiety co najmniej wezmą udział w rozmowach na ten temat, a może i podpiszą jakąś umowę w tej kwestii. W płaszczyźnie dyplomatycznej oznacza to trudny okres targów i konferencji, nie zmienia jednak nic w płaszczyźnie politycznej.

Energia atomowa prawdopodobnie podzieli los wszystkich dotychczasowych wynalazków wojennych. Tak było dotychczas, że nowe narzędzia przenoszenia śmierci zwykle dawały się również wykorzystać dla podtrzymania życia. W naszej epoce samolot, zastosowany pierwotnie nad frontami pierwszej wojny światowej, stał się jednym z najwygodniejszych środków komunikacyjnych. Wojenny pojazd na gąsienicach umożliwił budowę lepszych traktorów, dźwigów przenośnych i maszyn do oczyszczania placów budowy z gruzów lub ziemi. Mimo to pierwotna rola wojenna samolotu i czołgu nie skończyła się. Fakt, że wszyscy wiedzą jak budować gąsienicowe traktory, nie zapobiega wojnom.

Energia atomowa jest dotąd największym z wynalazków. Jej znaczenie jest tak wielkie, że bez przesady można ją uważać za istotny czynnik polityczno-gospodarczy naszych czasów. W obecnym jednak stadium ba-

dań, jej znaczenie gospodarcze jest jeszcze drugorzędne, choć widoczne są przed nią wielkie perspektywy rozwojowe.

Natomiast w dziedzinie wojny jest to narzędzie, na które ciągle nie ma lekarstwa i dlatego myśl ludzka tak uporczywie się nią zajmuje. Wobec zdecydowanej niechęci Sowietów poddania się kontroli produkcji atomowej, wszystkie dotychczasowe próby rozbrojenia w tej dziedzinie nie dały żadnych pozytywnych rezultatów. Najnowsze usiłowania idą przeto w kierunku kontroli częściowej i wymiany wiadomości na temat pokojowego wykorzystania straszliwych sił, wyładowywanych przy rozszczepieniu lub połączeniu atomów.

Rola polityków w tej kwestii jest bardzo delikatna. Tradycyjna polityka zajmowała się z zasady stosunkami między ludźmi, nie zwracając zwykle uwagi na narzędzia, którymi się ci ludzie posługiwali. Działo się to dlatego, że przez dłuższy czas nie było narzędzi gruntownie zmieniających układ sił politycznych. Europa przeszła wprawdzie poważne przemiany związane z rozpowszechnieniem żagla na morzu czy prochu na lądzie. Zmiany te jednak były powolne, występowały na przestrzeni dziesiątków czy setek lat i można powiedzieć, że żadne pokolenie ich z dnia na dzień nie zauważyło. Dlatego też praktycznie nie przywiązywano do nich zbyt wielkiego znaczenia.

Odkrycia związane z rozbiciem atomu były rewolucją, zmieniającą położenie na świecie z dnia na dzień. Zaskoczyła ona wszystkich, a w wielkim stopniu była niespodzianką dla polityków, dla których dotąd psychologia indywidualna czy masowa oraz zjawiska ekonomii były o wiele ważniejsze niż największe wynalazki techniki. Stąd też brak wyraźnych decyzji w tej dziedzinie, stąd nieraz walka polityków przeciw uczonym czy odwrotnie.

Przy całym zaskoczeniu, przy świadomości, że wojenny użytek broni atomowej zawiera w sobie niesłychane groźby dla ludności cywilnej, trzeba pamiętać, że wojskowi i politycy, bez względu na kolor ich poglądów, traktują to zjawisko jako po prostu b r o ń, a więc narzędzie utrzymania, rozszerzenia czy obrony panowania. Stąd też do rokowań atomowych należy przywiązywać mniej więcej tyle wagi, co do dawnych dyskusji międzynarodowych o gazach trujących. Mogą z nich wyniknąć umowy, współpraca czy współzawodnictwo w określonych ramach, trudno jednak oczekiwać światowego pokoju.

Pokój i wojna w nowym świecie atomowym po dawnemu zależą od siły i słabości państw, od charakteru ich stosunków wzajemnych oraz od charakteru, zamierzeń i woli ich kierowników. Polityka dalej bazuje na geografii, ekonomii, psychologii.

Byłoby naiwnością przypuszczać, że człowiek przestał się liczyć. Przeciwnie, im większe wynalazki, im groźniejsze narzędzia wojen, tym niebezpieczniejszy staje się człowiek. Jego moc budowania i niszczenia wzrasta, wzrasta wprawdzie i jego odpowiedzialność, ale nie jest to ostateczna miara wydarzeń politycznych. W nich, tak jak w żadnej dziedzinie, decydujące są zalety i wady ludzi kierujących oraz stan umysłów społeczeństw, którymi oni rządzą. Energia atomowa zmienia możliwości ludzkie, ale nie zmienia człowieka. Bez zmiany zaś człowieka, wszystkie pakty rozbrojeniowe są tylko dokumentami epoki, papierem, na którym zapisano szczere czy nieszczere oświadczenia. Gwarancje ich dotrzymania leżą zupełnie w innych dziedzinach.

JEST „GORZEJ"

Wydaje się, że koegzystencja na pewien czas zwyciężyła. Zasadniczym powodem tego stanu rzeczy nie jest ani wzajemne zrozumienie między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim, ani złagodzenie reżimu sowieckiego w Rosji i państwach okupowanych — oba te zjawiska są złudzeniem. Natomiast jest widoczne, że od chwili zawieszenia broni w Korei, ani Ameryka ani Sowiety nie miały woli narzucenia siłą próby własnego rozwiązania. Partia wojenna w Sowietach straciła głowę w postaci Stalina, jego następcy są o wiele ostrożniejsi i na razie więcej dbają o konsolidację władzy, niż o jej wojskowe rozszerzanie. W Stanach Zjednoczonych zwolennicy przecięcia konfliktu mieczem byli mniejszością, a ostatnie zwycięstwo wyborcze demokratów pozbawiło rząd oparcia w parlamencie, bez tego zaś nie ma mowy o polityce zaczepnej.

Reszta świata wolnego znajduje się w środku i nastroje społeczeństw w Anglii, Francji i Włoszech są takie, że prawie wszyscy wolą niepewny pokój niż pewną wojnę.

W ten sposób i reżimy satelickie, a ściślej sowieccy administratorzy krajów podbitych, dostają prezent w postaci czasu na konsolidację władzy. Prawda to bardzo smutna dla okupowanych narodów i ich emigracji, ale bardzo wyraźna. Oczywiście, niewola nie bywa wieczna i kiedyś się skończy. Nie w ten to w inny sposób żywe organizmy narodowe uwolnią się od obcego panowania, nie widać jednak, by miało to nastąpić w najbliższej przyszłości.

Państwa środkowo-europejskie czeka trudny okres. Ludność ich jest coraz bardziej wiązana przez komunistyczny system rządzenia, który tak wygląda, że każdy niemal nowy uchodźca charakteryzuje go jako pełne więzienie dla całych narodów.

Z drugiej strony widać także, że plany całkowitej przebudowy gospodarczej w Europie środkowej zostaną doprowadzone do wyraźnego końca, co najmniej w ich etapach początkowych. Przy całej monstrualności metod i środków stosowanych, lepiej, że budowa nowych przemysłów zostanie dokończona, niż gdyby ich wznoszenie miała przerwać wojna.

Nie jest to jednak żadne pocieszenie. Cały system organizacji satelickiej został pomyślany jako narzędzie panowania politycznego Sowietów, eksploatacji gospodarczej na rzecz Sowietów i niewoli indywidualnej człowieka na rzecz „partii robotniczych" reprezentujących w rzeczywistości tylko sowieckie Prezydium, a nie żaden z podbitych ludów.

Europę środkową z Polską na czele czeka dalszy ciężki okres. Nie zmienia to ani na jotę naszych obowiązków. Sowiety są dalej okupantem i wrogiem, tzw. krajowi komuniści są dalej tego wroga narzędziem. Świat może mieć swoje zawieszenia broni z Sowietami — Polaków nie stać na nie, ponieważ Polska jest okupowana.

„ZŁAGODZENIE KURSU"

Wielu tzw. specjalistów sowietologii na zachodzie Europy mówi o złagodzeniu kursu sowieckiego w stosunku do państw satelickich. Wyraża się nawet opinię, że normalizacja stosunków sowiecko-jugosłowiańskich odgrywa tu ważną rolę, gdyż zaostrzenie kursu sowieckiego w krajach podbitych nastąpiło w okresie usunięcia Tity, a więc obecna odwrotna sytuacja powinna przynieść powrót na dawne pozycje.

Wszystko to jest albo naiwnością, albo propagandą. W niej dość często dawni trockiści usiłują znaleźć pocieszenie na przykrą sytuację, w jakiej sami się znaleźli po zwycięstwie Stalina w Sowietach.

W ostatnich czasach wiele pisano na temat ciągłego zmniejszania się pozycji Rakosiego na Węgrzech. W pewnym momencie przedstawiciel tamtejszego reżimu oświadczył, że w niedawnej przeszłości było na Węgrzech dużo niesprawiedliwości i niesłusznych aresztowań, nawet wśród komunistów. Komentatorzy typu koegzystencjalnego uznali to natychmiast za złagodzenie i gorączkowo zaczęli dopatrywać się upadku Rakosiego. Ponieważ był on przedstawicielem jednoosobowej dyktatury, czymś w rodzaju małego Stalina, przeto mówi się, że jego upadek oznaczałby krok w stronę swobody stosunków politycznych na Węgrzech. Dlatego też nieobecność Rakosiego na jednej z galówek komunistycznych została natychmiast skomento-

wana jako sygnał zmian. Mathias Rakosi jednak pojawił się z powrotem, wybrany triumfalnie na kandydata na radnego w Budapeszcie razem z Ernoe Geroe i Michałem Farkasem, członkami politbiura kompartii.

Nawet upadek Rakosiego trudno by uważać za symbol złagodzenia. W Sowietach wypuszczono z więzień i przywrócono do łask ponad setkę starych komunistów aresztowanych przez Stalina. Dano im ordery i nagrody „za działalność rewolucyjną", ale dotąd nie miało to żadych skutków wewnętrznych. W Polsce więzienia są dalej pełne, a częste ucieczki zwykłych, skromnych ludzi świadczą, że nie ma żadnego rozluźnienia. Przeciwnie, życie jest nieznośne nie tylko dla ludzi mających poglądy antykomunistyczne, ale nawet dla ludzi nie mających żadnych poglądów.

W Sowietach dalej odbywają się przegrupowania za kulisami Prezydium i Centralnego Komitetu partii, gdyż konkurencja pomiędzy premierem Malenkowem i sekretarzem Chruszczowem dalej trwa i rozwija się. Wygląda na to, że w drodze wzajemnych ustępstw zwiększono znów ilość członków prezydium dopuszczając dwóch nowych malenkowców, Małyszewa i Tewosjana, z grona przemysłowych ministrów dla zrównoważenia partyjnych członków-kandydatów Pospiełowa i Susłowa.

Ta gra sił, bez wyraźnej przewagi jednego człowieka, ma swoje odbicie w stosunkach satelickich. Jest to jednak odblask niepewności na Kremlu, nie złagodzenie kursu. Kurs nie może być za bardzo złagodzony, ponieważ trzeba by zawrócić w niemożliwym kierunku. Władza komunizmu jest z samego założenia dyktaturą, a wobec tego może w pewnym okresie zadecydować, iż będzie stosować kary więzienia zamiast kar śmierci. Tego typu złagodzenie jest zwykłą propagandą. Sytuacji politycznej nie zmienia, nadaje się najwyżej do propagandowego opisywania zagranicą.

Ironię sytuacji podkreśla fakt, że ci sami komentatorzy, którzy amnestię carskie określali jako manewr, amnestie bolszewickie uważają za rzeczywistość. Jest to bardzo gruby błąd, w wielu wypadkach zupełnie świadomy.

W RAMACH KOMEKONU

W Warszawie ogłoszono dane dotyczące wymiany wiadomości technicznych i szkolenia specjalistów polskich w różnych państwach pod władzą sowiecką.

Bardzo wiele mówiło się przedtem o szkoleniu Polaków w Sowietach. Ogłaszano jednak tylko niektóre cyfry i z nich wiadomo, że przebywa tam około 500 studentów i asystentów, a również, że wyszkolono tam 300 techników i robotników wykwalifikowanych.

Teraz jednak z artykułu w „Gospodarce Planowej" dowiadujemy się, że większość polskich specjalistów szkolonych w państwach komunistycznych przechodzi praktyki w przemyśle czechosłowackim. Jest to zjawisko pozytywne, gdyż już dawno był czas na ścisłą współpracę Polaków i Czechów w dziedzinie techniki. Jednak powodem wysłania 1.240 Polaków na trzyletnie praktyki do Czechosłowacji a 250 Czechów do Polski nie była ani łaskawość sowiecka, ani polityka ściślejszego wiązania Polaków, Czechów i Słowaków. Powody leżą po prostu w słabości ekonomicznej niektórych działów przemysłu sowieckiego oraz w niechęci pokazywania ludom podbitym mniej reprezentacyjnych stron życia sowieckiego. Czechosłowacja jest znanym w całym świecie krajem przemysłu lekkiego i żywnościowego, a Polska krajem nowoczesnych kopalń węgla. W obu tych dziedzinach Sowiety niewiele mają do pokazania. Szczególnie mało mają do powiedzenia w przemyśle żywnościowym i konfekcyjnym lub obuwniczym. A właśnie w tych dziedzinach oraz w przemyśle chemicznym praktykują Polacy w Czechosłowacji.

Inne ujawnione szczegóły współpracy „międzysatelickiej" w ramach tzw. Komekonu, tj. odpowiednika zachodnio-europejskiego komitetu pomocy ekonomicznej. Czechosłowacja dostarczyła Polsce planów i maszyn urządzeń cieplnych w elektrowniach, Czesi zbudowali dwa piece koksownicze, dostarczyli urządzeń do dwóch fabryk cementu, dali schematy organizacyjne fabryki butów. Polska odwzajemniała się wrębiarkami górniczymi, schematami organizacji kopalń węgla i rud, wiadomościami z zakresu masowego budownictwa domów.

Na mniejszą skalę, ale w poważnych rozmiarach, istnieje wymiana urządzeń, planów i doświadczeń pomiędzy Polską a Wschodnimi Niemcami. Dotyczy ona głównie przemysłu chemicznego, elektrycznego i budowy niektórych maszyn. Niemcy dostarczyli kompletnych urządzeń i wybudowali cały kombinat chemiczny w Kędzierzynie w woj. opolskim.

W stosunku do innych państw komunistycznych Polska jest raczej krajem dającym niż otrzymującym. I tak prócz udziału w konstrukcjach drogowych (wielki most na Dunaju), przemysł Polski w okresie 1951-53 r. budował chłodnie w Bułgarii, a ostatnio koleje w północnej Korei oraz cukrownie w Chinach komunistycznych.

Prócz tego Polska kształci specjalistów przemysłowych dla Korei i Albanii.

AFRYKA W OGNIU

Nowe trudności rysują się przed Francją od chwili, gdy nacjonaliści północno-afrykańscy, zdecydowali się zastosować metody wojny partyzanckiej.

Kłopot polega na tym, że Francja zaledwie 120 lat temu stanęła na terenach północnej Afryki i stworzyła kolonie wśród ludów dumnych i przekonanych o swej niemal wyższości nad Europejczykami. Gdy minął częściowo okres zacofania technicznego tamtych krajów Bliskiego Wschodu — Arabowie północnej Afryki postanowili zagrać pełną stawkę. Korzystają oni z pomocy międzynarodowej i wojskowej Egiptu oraz innych państw Ligi Arabskiej. Francja usiłuje zagadnienie to izolować, traktować jak wewnętrzne, ale jest to bardzo trudne.

Bunt rozpoczęty w Tunisie i Maroku przechodzi powoli do Algeru. Komplikuje to sprawę, tym bardziej że prowincja ta jest w wysokim stopniu skolonizowana przez ludność francuską i wszelka gerylasówka z natury rzeczy staje się wojną domową dwóch grup ludności.

UCHWAŁY PIĄTEGO POSIEDZENIA RADY JEDNOŚCI NARODOWEJ

Piąte posiedzenie Rady Jedności Narodowej odbyło się 6 listopada w Londynie, w sali posiedzeń Rady przy 42 Emperor's Gate. Zebranie otworzył przewodniczący Rady dr T. Bielecki następującym przemówieniem:

W ROCZNICĘ 11 LISTOPADA

Dzisiejsze posiedzenie Rady Jedności odbywamy tuż przed Świętem Niepodległości. Słusznie naród nasz przyjął datę 11 listopada jako dzień wyzwolenia po pierwszej wojnie światowej. Był to bowiem punkt zwrotny w dziejach Europy i Polski.

Potęga niemiecka, zagrażająca światu w latach 1914-18, została złamana. Połączone siły Zachodu z polskim wojskiem u boku parły przed sobą pobitego wroga, a dnia 11 listopada 1918 r. w lesie pod Compiègne pokonani, tak butni do niedawna, Niemcy podpisywali zawieszenie broni.

Dla nas Polaków była to wielka chwila. Bez klęski Niemiec bowiem nie byłoby wówczas niepodległego, zdolnego do życia państwa polskiego. Dzień 11 listopada 1918 r. był zarazem dniem triumfu polityki polskiej, opartej o koalicję zachodnią. Zwycięstwo nad Niemcami umożliwiło realizację polskiego programu terytorialnego z dostępem do Bałtyku.

Równocześnie zrywał się do walki z okupantami naród polski w kraju. Działanie naszej reprezentacji politycznej zagranicą zostało skutecznie wsparte przez wysiłek zbrojny w kraju. Powstanie wielkopolskie, obrona Lwowa i odparcie idącego na nas już wówczas zalewu bolszewickiego pozwoliły ugruntować zdobytą niepodległość i zrzucić jarzmo zaborców.

Nikt za darmo nie da nam wolności. Naród, który nie umie walczyć o swój byt, który nie ma woli samodzielnego istnienia albo nie posiada niepodległości, albo ją szybko traci.

Stąd takie ważne było wówczas współdziałanie emigracji i kraju, stąd ważne jest dziś rozumienie się wzajemne narodu w kraju i przedstawicielstwa politycznego zagranicą. Bez przewidującej, mądrej polityki polskiej, która umiała wyzyskać koniunkturę światową i bez zbrojnego wysiłku całego narodu nie bylibyśmy zdolni wyzwolić się z pęt niewoli. Wolno wyrazić wiarę, że jeżeli wówczas rozpadły się trzy zaborcze państwa, to obecnie runąć musi jedna zaborcza potęga, która nas dławi.

Oczywiście dziś jak wówczas wyzwolenie nie spadnie nam z nieba samo, jak dojrzały owoc. Trzeba będzie dużego, nieraz nadludzkiego wysiłku z naszej strony, ażeby pokonać piętrzące się trudności. Trzeba zgodnego działania w obronie praw Polski na emigracji, i przetrwania oraz akcji w przyszłości, w okresie wyzwolin, w kraju.

Stąd takie ważne zjednoczenie sił politycznych i społecznych na emigracji, którego widomym kształtem jest stworzony przez nas system działania w postaci Rady Trzech, Rady Jedności Narodowej i Egzekutywy. Trzeba ten system wzmacniać, pogłębiać i rozszerzać, ażeby skupić koło niego wszystko, co po polsku myśli i czuje. Głównym naszym zadaniem na wygnaniu jest walka o niepodległość, najskuteczniejszym środkiem — zjednoczenie.

Dbajmy nie tyle o formy, choć to też ważne, ile o treść naszego działania w tym trudnym, może najtrudniejszym okresie naszej tułaczki. Pracą pozytywną zepchniemy najłatwiej w kąt wszystko co pod zjednoczeniem ryje, co własny jednostkowy egoizm stawia ponad dobro całości. Paradoksem naszej sytuacji jest, że najgłośniej krzyczą w obronie konstytucji ci, którzy ją stale gwałcą. Walce z tzw. zamkiem poświęcajmy tyle tylko czasu, ile musimy. Dbajmy przede wszystkim o utrzymanie na powierzchni sprawy polskiej w świecie, ażeby nie stała się wewnętrzną kwestią Rosji i przygotowujmy wyzwolenie. To o wiele ważniejsze zadanie od obrzucania błotem ku radości bolszewików.

Spokojnie, z wiarą i energią budujmy przyszłość i walczmy o sprawę polską aż do zwycięstwa.

UCHWALENIE BUDŻETU

Z kolei p. F. Berka, sprawozdawca generalny komisji finansowej Rady Jedności Narodowej zreferował projekt preliminarza budżetowego Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, przedłożony na poprzednim posiedzeniu Rady w dn. 17 października. Preliminarz budżetowy za okres od 1 września do końca bieżącego roku kalendarzowego obejmuje po stronie dochodów i wydatków blisko 7 tys. funtów. Wydatki preliminowane są przede wszystkim na utrzymanie placówek dyplomatycznych i akcję prasową, w tym na wznowienie miesięcznika po angielsku „Polish Affairs".

Nad projektem budżetu zabierali kolejno głos przedstawiciele poszczególnych klubów Rady: S. Wąsik (Polska Partia Socjalistyczna), F. Miszczak (PRW „Niepodległość i Demokracja"), M. Thugutt (Polskie Stronnictwo Ludowe — Odłam Jedności Narodowej), B. Podoski (Liga Niepodległości Polski), A. Dargas (Stronnictwo Narodowe), Z. Podhorski (Niezależna Grupa Społeczna), Z. Stermiński (niezależny), prof. S. Stroński (niezależny), R. Piłsudski (PRW „Niepodległość i Demokracja"), dr Z. Stahl (niezależny), T. Dobrowolski (Stronnictwo Pracy — Komitet Zagraniczny, Z. Fallenbüchl (Stronnictwo Pracy — Zarząd Główny).

W debacie budżetowej dokonano również przeglądu dotychczasowej działalności Egzekutywy. Wiele uwagi poświęcono konieczności rozszerzenia jej działalności w dziedzinie polityki zagranicznej. Specjalną uwagę zwrócono na potrzebę rychłego powołania do życia Oddziału Rady Jedności Narodowej w Stanach Zjednoczonych i zharmonizowania jego prac z poczynaniami Polonii amerykańskiej. Mówcy z wszystkich klubów wyrazili przekonanie, że wyjazd prez. Bieleckiego do Ameryki przyspieszy utworzenie tam Oddziału Rady.

Poddany pod głosowanie projekt budżetu został uchwalony z drobnymi poprawkami, przy kilku głosach wstrzymujących się.

UZUPEŁNIENIE WŁADZ SKARBU NARODOWEGO

Wobec wygaśnięcia części mandatów Głównej Komisji oraz Komisji Rewizyjnej Skarbu Narodowego, Rada Jedności Narodowej zgodnie z przepisami statutowymi uzupełniła ich skład jednogłośnie w drodze wyborów. Przedłużono kadencję na dwa lata dotychczasowym członkom Głównej Komisji gen. W. Andersowi, dr Z. Nowakowskiemu i gen. Z. Podhorskiemu. Wybrano prez. T. Arciszewskiego, R. Cywińskiego, A. Dargasa, płk A. Jedziniaka, dr T. Terleckiego i M. Thugutta. Do Komisji Rewizyjnej wybrano W. Łęgowskiego, min. M. Sokołowskiego i dr A. Szczypiorskiego, przedłużono kadencję dr L. Surzyńskiemu i płk K. Ziemskiemu.

Przez uzupełnienie władz głównych instytucja Skarbu Narodowego uzyskała szeroką podstawę jedności narodowej dla zbierania środków na prowadzenie polityki polskiej w świecie. Przemawiający w debacie ks. A. Wróbel (Niezależna Grupa Społeczna), J. Narożański (Stronnictwo Narodowe), M. Przedrzymirski (PRW „Niepodległość i Demokracja") i dr B. Kuśnierz (Stronnictwo Pracy — Zarząd Główny) wskazali na postępującą szybko naprzód rozbudowę Skarbu Narodowego. Szczególny udział mają w tej rozbudowie Stronnictwo Narodowe i Polska Partia Socjalistyczna.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

GDYBYM BYŁ NIEMCEM

GDYBYM był Niemcem, nie byłbym zadowolony z obrotu, jaki ostatnio przybierają sprawy niemieckie.

Oczywiście bardzo trudno jest wmyśleć się w położenie członka innego narodu. Stosunki jednak polsko-niemieckie były od wieków tak, niestety, bliskie, a przemieszanie etniczne tak duże, że zrozumienie Niemców, przy całym poczuciu obcości ich psychiki, nie powinno być dla Polaka niemożliwe, przeciwnie, powinno być łatwiejsze niż dla zachodniego Europejczyka.

Otóż gdybym był Niemcem, rozumowałbym mniej więcej tak:

Jesteśmy jednym z najliczniejszych i najzdolniejszych narodów świata. W różnych okresach przodowaliśmy światu politycznie, naukowo, artystycznie, technicznie. Nie jesteśmy na pewno jako naród czymś mniejszym od Francuzów, Anglików czy Rosjan. A jednak oni skolonizowali całe kontynenty, potworzyli imperia, rządzą światem, a my, mimo zdolności, mimo organizacji, mimo narodowej ofiarności, nie osiągnęliśmy nie tylko imperium, ale nawet zjednoczenia wszystkich ziem niemieckich. Przyczyną tego nie jest odcięcie od wielkich szlaków morskich. Malutka Holandia, w tym samym położeniu w stosunku do mórz, zrobiła mocarstwową karierę. Holendrzy, którzy są przecież najczystszej krwi niemieckiej: frankońskiej, saskiej i fryzyjskiej, są także dowodem, że przyczyną nie jest brak zdolności imperialnych. Poza tym po całym świecie są przecież kupcami i technikami Niemcy, doskonałymi kupcami i technikami. Są także i zawsze byli doskonałymi żołnierzami. Przyczyna naszych nieszczęść musi leżeć w historii. Ale gdzie?

W średniowieczu byliśmy głównym narodem Europy. Nasz król był cesarzem chrześcijaństwa. Skolonizowaliśmy miasta wschodu aż po Zatokę Fińską i Siedmiogród. Ale w szesnastym wieku, gdy nasi sąsiedzi: Francja, Anglia, Hiszpania stworzyli jednolite państwa narodowe, myśmy się podzielili w bratobójczej walce ideologicznej niemal na dwa narody, protestancki i katolicki. Nasi sąsiedzi skorzystali z tego, wtrącili się do walki, utrwalili podział i niemoc Niemiec. Gdy myśmy byli setką małych anachronicznych, średniowiecznych państewek, narodowe państwa zachodniej Europy budowały zamorskie imperia, a na naszym wysiłku gospodarczym i kulturalnym na wschodzie powstawało bogactwo Polski, Rosji i Węgier. To Polska, a nie Niemcy, tworzyła sobie kolonie na stepie czarnomorskim, Rosja, a nie Niemcy, budowała imperium w Azji, Węgry, a nie Niemcy, wyzyskały zwycięstwa nad Turkami. Zostaliśmy zatrzymani w rozwoju politycznym u progu ery nowoczesnej, spóźniliśmy się z nacjonalizmem o całą epokę.

Nacjonalizm przyszedł do nas jako prąd umysłowy, nie jako przeżycie, przyszedł z Francji w końcu XVIII w. splątany w jedno z liberalizmem i egalitaryzmem. Genialny Bismarck wiedział, że naród niemiecki stworzyć w formie nowoczesnej można tylko drogą wielkiego wspólnego przeżycia. Widział, że rewolucja liberalna roku czterdziestego ósmego takim przeżyciem się nie stała. Dał nam takie przeżycie w postaci wspólnej narodowej wojny z Francją. Wynikiem tej państwowej i autorytatywnej, a nie narodowej i rewolucyjnej drogi był specjalny charakter Pierwszej Rzeszy. Rzesza Bismarcka nie była jak Republika Thiersa ani jak królestwo Wiktorii, nawet nie jak zjednoczone Włochy Cavoura i Garibaldiego, była jak o dwieście lat wcześniejsza Francja Richelieu: jedność jej opierała się na woli męża stanu, na autorytecie korony, na uszanowaniu praw feudalnych odrębności, na legitymizmie państwowym nie narodowym. Nie obejmowała Niemców austriackich ani szwajcarskich, ani holenderskich.

Zjednoczenie Niemiec przez Bismarcka było możliwe, gdyż zainteresowania i uczucia religijne usunęły się w jego czasach na dalszy plan, nie dzieliły tak narodu jak niegdyś. Ale wciąż nie był to naród tak organicznie, tak trwale złączony jak inne. W naszej epoce to była wielka słabość. Stapianie Niemców w jedną całość trzeba było dokończyć. Dlatego poszliśmy za Hitlerem. Hitler miał w naszym rozumieniu dać wszystkim Niemcom jedność wychowania i odczuwania, jedność ideałów, może nawet jedność religijną. Miał oczyścić kulturę niemiecką od wpływów obcych, przede wszystkim żydowskich, miał połączyć w jednym państwie wszystkie odłamy narodu, dotąd oddzielone granicami: Austrię, Sudety, Gdańsk, Kłajpedę, mógł sprowadzić Niemców z Rosji, Bałtyki, wschodniej Polski, Basenu Naddunajskiego i osiedlić ich w szeroko pojętym Korytarzu Gdańskim między Wisłą a Wartą. Takie Niemcy nie stworzyłyby już imperium zamorskiego — na to było za późno, ale dominowałyby gospodarczo i kulturalnie nad Europą, co w epoce budzenia się ludów kolorowych było nawet ważniejsze.

Poszliśmy za Hitlerem. Ale Hitler był szaleńcem. Użył metod jakich używać nie wolno. Doprowadził nas do klęski. Nasz naród potrafi wydobyć się z zadziwiającą szybkością z klęski gospodarczej, materialnej, nawet biologicznej. Nie może sam wydobyć się z klęski politycznej, która jest najgroźniejsza. Oto bowiem nie tylko dzieło Hitlera, ale i dzieło Bismarcka jest w ruinie. Straciliśmy nie tylko Austrię i Alzację, diasporę niemiecką na wschodzie, nie tylko wysiedlono nas z ziem za Odrą, ale powstały dwa państwa niemieckie. Prawda, że jedno z nich rządzone jest przez Rosjan, trzymane tylko siłą, ale ten stan trwa już lat dziesięć. W innym narodzie byłby to stan mniej groźny: w naszym, gdzie jedność państwowa jest tak młoda i tak burzliwa, gdzie pamięć podziału nie tylko państwowego, ale niemal narodowego na Austriaków, Prusaków i Bawarów jest tak świeża, może grozić, jeśli ten podział potrwa przez życie więcej niż jednego pokolenia, że powstaną dwa narody niemieckie: zachodni i wschodni.

Cała polityka niemiecka musi być skierowana ku uniknięciu tej historycznej katastrofy, gorszej niż przejściowa niewola i zniszczenie materialne. Poszliśmy za Adenauerem, bo rozumieliśmy, że jego polityka jest polityką sojuszu wojennego z Zachodem. Wojny nie tylko mamy osobiście dość, ale wiemy, że nowa wojna oznaczałaby zniszczenie Niemiec większe niż w drugiej wojnie światowej, większe może niż jakiegokolwiek innego kraju. Mimo to gotowi byliśmy pogodzić się z nią jako z okropną koniecznością dla uniknięcia jeszcze większego zła: rozdwojenia narodu i utraty na zawsze ziem nie tylko za Odrą, ale może i za Łabą. Ale taka wojna musiałaby być wojną w ciągu lat niewielu. Jeszcze rok temu byliśmy pełni nadziei. Myśleliśmy, że konferencja berlińska doprowadzi albo do zelżenia tego łań-

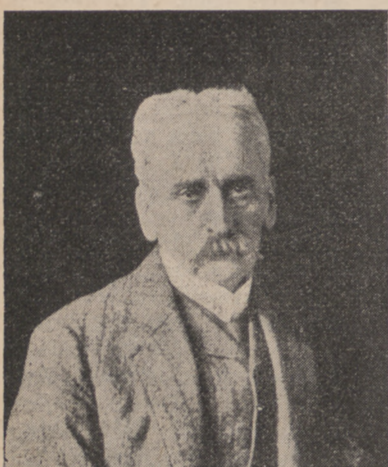
cucha, który zaciska nas wzdłuż Łaby i wywołuje odrętwienie Niemiec wschodnich, a może w przyszłości rozpad ciała niemieckiego na dwa kadłuby, albo też wywoła decyzję amerykańską rozprawy z Sowietami. Nie nastąpiło ani jedno, ani drugie.

To, co nam dziś proponują w postaci Unii Zachodnio-Europejskiej jest zupełnie różne od tego, na co gotowi byliśmy się zgodzić rok temu. Nie dlatego, żebyśmy woleli dywizje niemieckie w armii europejskiej od własnej armii narodowej, ale dlatego że zmieniła się polityka amerykańska. Nasza armia ma powstać nie do wojny wyzwoleńczej, ale do obrony granic. Jakich granic? Na Łabie i Werrze. Ceną tej obronności, ceną tej suwerenności będzie pogłębienie granicy w poprzek Niemiec, zaciśnięcie dalsze obręczy wokół żywego ciała Niemiec, zsuwanie się ku katastrofie. Jeżeli nie możecie zrobić z bolszewikami wojny o wyzwolenie Niemiec wschodnich, to nie uniemożliwiajcie nam porozumienia się z nimi w sprawie zelżenia łańcucha, zbliżenia psychicznego obu części Niemiec.

Entweder — oder. Albo robimy wojnę wyzwoleńczą w ciągu najbliższych lat kilkunastu, albo może nawet lepiej żeby Niemcy były bodaj bolszewickie, ale jednolite. Nie katolickie i protestanckie, nie demokratyczne i komunistyczne, ale jedne: ein Volk, ein Reich. Dopóki nie zorientujemy się czy zjednoczenie Niemiec jest możliwe w sojuszu z wami, czy też tylko w podporządkowaniu się Sowietom, będziemy zachowywać się ostrożnie. Bo wolimy oczywiście, nieskończenie wolimy z wami. Gdy zorientujemy się, będziemy musieli powziąć prawdziwą decyzję. Wenn schon, denn schon.

B. KRZEMIŃSKI

AMBASADOR POLSKI NIEWOLNEJ



EDMUND NAGANOWSKI

PRZYGNĘBIENIE, wywołane w kraju i na emigracji klęską powstania w r. 1863, nie ujawniło się od razu w pełni. Zbyt mocno rozkołysane były uczucia i nastroje patriotyczne, zbyt silne oburzenie na represje rosyjskie, za wiele też było — niestety — żalów i porachunków między rodakami, by rozniecony pożar mógł się tak szybko wypalić. Po kilku latach przyszło jednak nowe uderzenie: klęska Francji w wojnie z Prusami, która i w kraju i na emigracji podziałała chyba równie silnie, jak, przejściowa zresztą, katastrofa wojenna tej samej Francji w r. 1940.

Wprawdzie przedtem w społeczeństwie polskim panowało rozgoryczenie z powodu stanowiska, zajętego przez Francję podczas powstania styczniowego — stanowiska, niewspółmiernego zupełnie z zachętami, jakich nie szczędził Polakom Napoleon III. Ale kapitulację w r. 1871 odczuto od razu jako upadek ostatniego na kontynencie europejskim mocarstwa, które stanowiło przeciwwagę dla dwu głównych zaborców Polski. Pamiętać trzeba, że Sedan poprzedzony został konwencją Alvenslebena i współpracą prusko-rosyjską w tłumieniu powstania.

Od strony Francji przyjść miały wkrótce potem nowe smutne wiadomości: zbliżenie między Paryżem a Petersburgiem, którego wynikiem było celowe tłumienie sympatii propolskich w społeczeństwie francuskim i „conspiration de silence" wokół sprawy polskiej. Wzburzenie wśród Polaków było ogromne; pisze o tym duński krytyk literacki i historyk Brandes w książce o Polsce, którą wówczas był odwiedził.

Na emigracji przejawem tej ciężkiej atmosfery, jaka spowiła społeczeństwo polskie, staje się w r. 1887 samobójstwo 77-letniego Juliusza Konstantego Ordona, bohatera mickiewiczowskiej „Reduty Ordona". Z listów, które pisał w ostatnim okresie przed śmiercią (niektóre z nich kilka lat temu ogłoszone zostały w „Życiu"), wynika wyraźnie, że powodem tej rozpaczliwej decyzji była świadomość położenia, w jakim znalazła się wówczas sprawa polska, — było też załamanie się wiary w celowość ofiar 1831 i 1863 r.

Samobójstwo to nabiera szczególnie tragicznego wyrazu, gdy się zważy, że właśnie w tym czasie i w kraju i na emigracji nastroje zwątpienia i rezygnacji zaczynają się zwolna przełamywać i pojawiają się pierwsze oznaki odrodzenia w postaci „Rzeczy o obronie czynnej i Skarbie Narodowym" T. T. Jeża, artykułów warszawskiego „Głosu", oraz powstania Ligi Polskiej, z której wyrosnąć miał nowoczesny polski obóz narodowy.

Rzecz ciekawa, że na terenie Anglii z jej bardzo wówczas nieliczną emigracją polską pojawił się człowiek, który przez swą umysłowość i działalność, jaką rozwijał, stał się wyrazicielem tych właśnie nowych prądów. Był nim Edmund Naganowski.

LATA IRLANDZKIE

Naganowski był Wielkopolaninem i można powiedzieć, żeześrodkowały się w nim dodatnie cechy tej dzielnicy. Jego uparty, gorący patriotyzm łączył się z wrodzonym zmysłem ładu, pracowitością i dużymi zdolnościami organizacyjnymi. Nie zniechęcał się trudnościami, nie znosił słomianego ognia, budował i porządkował.

Urodził się w Gostyniu w dniu 26 września 1853 r.; matka jego, z domu Rogowska, pochodziła z miejscowej rodziny ziemiańskiej, rodzina ojca natomiast przybyła ponoć z ziem południowo-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Edmund wcześnie dostał się za granicę; w latach 1875—1879 był nauczycielem domowym w Paryżu i Rzymie, a później w Anglii i Irlandii. Bliskie związki uczuciowe związały go najpierw z Irlandią. Studiuje na uniwersytecie dublińskim i w r. 1884 uzyskuje tam stopień magistra sztuk. Daje mu to możność uzyskania stanowiska profesora liceum w Waterford, mieście portowym nad zatoką Tremore w południowej Irlandii, liczącym około 30 tys. mieszkańców. Styka się tam Naganowski z irlandzkim ruchem narodowym i polityką władz angielskich, dążących do wypchnięcia z kraju za morze jak największej ilości Irlandczyków jako żywiołu niewygodnego. Naganowski, obserwator bystry i pełen ciekawości, silnie odczuwa dramat Irlandii; owocem jego spostrzeżeń i przeżyć staje się powieść „Hessy O'Grady".

Powieść ta, którą ogłosił pod pseudonimem: Działosza, ukazała się najpierw w „Bibliotece Warszawskiej" (w 4 zeszytach rocznika 1885 i w 3 pierwszych zeszytach rocznika 1886). W r. 1889 rzecz wyszła w postaci książki nakładem J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna w Krakowie.

Tłem powieści jest właśnie forsowana przez władze emigracja ludu irlandzkiego za morze i opór patriotów irlandzkich; z ich strony mnożą się w tym okresie akty terroru. Ofiarą ich padają zarówno przedstawiciele władz, jak funkcjonariusze kompanii okrętowych, werbujący różnymi środkami ludzi na wyjazd do Ameryki. W r. 1878 zamordowany zostaje urzędnik kompanii okrętowej Grubb, a w dniu 6 maja 1882 r. w Phoenix Parku w Dublinie giną ugodzeni sztyletami namiestnik lord Cavendish i podsekretarz Burke.

Bohaterami powieści są Hessy (irlandzka forma imienia Estery), przybrana córka rolnika O'Grady'ego, i syn jego Tomasz. Tomasz jest członkiem tajnej narodowej organizacji irlandzkiej, ale przeciwnikiem terroru. Toteż kiedy dostaje od swych zwierzchników rozkaz zamordowania Grubba, strzela istotnie, ale ponad głowami tłumu. Prawdziwym zabójcą Grubba jest Michał Myles, nikczemnik, ubiegający się o rękę Hessy; chcąc odwrócić od siebie podejrzenie i pozbyć się Tomasza z zagrody, rozpuszcza wersję, że to właśnie Tomasz zamordował Grubba.

Matka Hessy Agnieszka wyszła za mąż za Jana Leary, który jednak zdradza sprawę irlandzką. Wstępuje do wojska angielskiego i żeni się z Angielką, później zaś pod przybranym nazwiskiem Grandy'ego zajmuje się wywożeniem rodaków za Ocean. Nęka go jednak sumienie i poruszony zgonem Agnieszki, która go stale poszukiwała, wyznaje swą winę, żałuje jej i wkrótce potem ginie w czasie pożaru farmy.

Tomasz O'Grady zostaje oczyszczony z ciążących na nim zarzutów, a Hessy, do której przywiązał się jak do własnej siostry, wychodzi za mąż za Thady'ego, który odegrał ważną rolę w uratowaniu Tomasza.

Jak widać z tego krótkiego streszczenia, autor nie idealizuje wcale Irlandczyków — przykładem jest Leary —, ale Anglików przedstawia w ogóle w świetle ujemnym; szczególnie źle wypadła Horacja, druga żona nawróconego później renegata, którego zresztą rzuca od razu, gdy się dowiaduje o jego pochodzeniu i dawniejszej działalności.

NAGANOWSKI W LONDYNIE

Przeciwangielskie sentymenty Naganowskiego ulegają jednak później silnym przemianom i w końcu zupełnie zanikają; Naganowski staje się anglofilem, choć zachowuje sentyment dla Irlandii. Z Waterford przenosi się w r. 1886 do Londynu, gdzie początkowo bardzo źle mu się powodzi, stopniowo jednak położenie jego się poprawia, zwłaszcza od chwili, gdy otrzymuje stanowisko w British Museum. Przez lat kilkanaście Naganowski oddaje się w stolicy Anglii żywej działalności społecznej, literackiej i dziennikarskiej.

Smutnie przedstawia się w tym czasie życie polskie w stolicy Anglii. Po r. 1863 sprawa polska znika z pola zainteresowań społeczeństwa brytyjskiego, jak w ogóle społeczeństw zachodnich, i omal że zapada się pod ziemię. Przyjaciele Polski w Wielkiej Brytanii — tak liczni jeszcze w czasie powstania styczniowego — wymierają jeden po drugim, a na ich miejsce nie pojawiają się nowi; milkną też przychylne nam głosy w prasie i publicystyce. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia Polskę przypominały już tylko występy wybitnych artystów scenicznych, muzyków i śpiewaków: Heleny Modrzejewskiej, braci Reszków, Sembrich-Kochańskiej, Wieniawskich, którzy w tym czasie święcili triumfy także nad Tamizą; po nich przyszedł okres bardziej jeszcze oszałamiających sukcesów I. J. Paderewskiego.

Założone w r. 1832 przez poetę Tomasza Campbella, a z inicjatywy ks. Adama Czartoryskiego, Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski (Literary Association of the Friends of Poland) trwa nadal na posterunku; jego siedziba przy Duke Street, St. Jame's, nr 10 jest nadal jak w ubiegłych dziesięcioleciach ośrodkiem działalności na rzecz Polski i pomocy dla emigrantów polskich, ale zakres jego czynności stale się ścieśnia z powodu braku oddźwięku w opinii publicznej i idącego za tym braku funduszów. Towarzystwo coraz bardziej zmuszone jest ograniczać się do niesienia nader skromnej pomocy materialnej uczestnikom powstań z r. 1830-31, 1848 i późniejszym przybyszom, znajdującym się niekiedy w skrajnej nędzy. Z czasem i to staje się trudne z powodu zmniejszenia się wpływów z dotacyj i składek członkowskich. Katastrofą dla Towarzystwa był w r. 1884 zgon jego zasłużonego sekretarza majora Karola Szulczewskiego, który pełnił te funkcje przez 42 lata i — mówiąc słowami nekrologu pióra Naganowskiego, w „Timesie", — otaczał ojcowską opieką weteranów powstań narodowych, żyjących na wygnaniu w Wielkiej Brytanii. Po zgonie Szulczewskiego, sekretariat Towarzystwa obejmuje na dwa lata Jan Józef Baranowski, ongiś zdolny wynalazca i finansista (opracował plan spłaty odszkodowań francuskich dla Niemiec, który istotnie w głównych zarysach wprowadzony został w życie), ale bardzo już stary i zniedołężniały.

W r. 1886 sekretariat Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski powierzony został Naganowskiemu. Oto co pisze o tym ks. Jan Badeni w swej rozprawie „Polacy w Anglii," która ukazała się w r. 1890 w krakowskim „Przeglądzie Powszechnym":

„Z chwilą, w której pan Naganowski objął pióro, a z piórem, nie złotym co prawda — berło, w salach zajmowanych przez Towarzystwo, — spało ono snem iście śmiertelnym, było bez zarządu, bez członków, bez środków, składało się po prostu z biurowego pisarza i jednego bardzo gorliwego, lecz już steranego wiekiem i chorobą „przyjaciela". Sekretarz wziął się z zapałem polskim, a z angielską wytrwałością do wlania nowego życia w obumierającą instytucję".

Naganowski zaczyna od tego, że tworzy przy Towarzystwie komitet pań angielskich i polskich, na którego czele staje znana działaczka i przyjaciółka Polski lady Burdett-Coutts. Towarzystwo dla podreperowania swych finansów wznawia tradycję „Polish Balls", które kiedyś, za prezesury lorda Dudleya Stuarta gromadziły w salach londyńskiego Guildhallu śmietankę towarzystwa angielskiego, przynosząc znaczne dochody (niekiedy po półtora tysiąca funtów). Istotnie bal taki odbył się w r. 1887 pod protektoratem ks. Władysława Czartoryskiego, syna Adama, i uchronił Towarzystwo od grożącego mu bankructwa.

Następnego roku komitet pań (w którym wybitną rolę odgrywała Adamowa Giełgudowa, córka słynnej artystki lwowskiej Aszpergerowej) przygotował kiosk polski w wydziale robót kobiecych, mianowicie haftów i koronek, na wystawie międzynarodowej w Glasgowie. Naganowski poruszył całą prasę polską w kraju; w Krakowie, Lwowie i Poznaniu powstały komitety, zbierające okazy na wystawę. Powodzenie było zupełne; nie zabrakło i wyrazów uznania ze strony królowej Wiktorii. W grudniu 1888 r. w salach reduty Wilisa w dzielnicy St. James odbył się pokaz polskich wyrobów snycerskich, ceramicznych, haftów i płócien. Z ich sprzedaży uzyskano na miejscu około 400 funtów.

O LITERATURZE POLSKIEJ W ANGLII

Szczególny wysiłek włożył Naganowski w zaznajamianie społeczeństwa angielskiego z literaturą polską — i tu mógł się poszczycić nie lada sukcesem. Pod jego wpływem poważnym studiom nad piśmiennictwem polskim poświęciły się dwie zdolne Angielki: Maude Ashurst-Biggs (1856—1933) i, później, Monica Gardner (1873—1941). Miss Biggs przełożyła najpierw na język angielski „Konrada Wallenroda" (przekład ten wyszedł w r. 1882). W trzy lata później, w r. 1885, ukazał się dokonany przez nią pierwszy

angielski przekład „Pana Tadeusza"; drugi przekład pojawił się dopiero w trzydzieści dwa lata później, w czasie Pierwszej Wojny Światowej. Wszystkie niemal objaśnienia do przekładu p. Biggs napisał Naganowski, który też niewątpliwie bardzo wydatnie pomagał jej w samym tłumaczeniu. Poza tym Naganowski za pośrednictwem „Kłosów" warszawskich, których był korespondentem, urządził w Polsce zbiórkę pieniężną na pokrycie kosztów wydania przekładu (który, nawiasem powiedziawszy, jest dziś dużą rzadkością bibliograficzną). Ta pierwsza angielska wersja „Pana Tadeusza" spotkała się w „Przeglądzie Powszechnym" z pochwalną recenzją tak wymagającego krytyka, jak Stanisław Tarnowski. Miss Biggs przełożyła też „Grażynę", „Dziady" oraz ballady i sonety Mickiewicza, ale na wydanie tych tłumaczeń środków już nie starczyło.

P. Biggs pracowała również w Towarzystwie Literackim Przyjaciół Polski. Staraniem tej organizacji wyszła w r. 1887 jej broszura o znamiennym tytule „The Forgotten Nation".

Zasługi Moniki Gardner, zabitej w r. 1941 przez bombę niemiecką, autorki książek o Mickiewiczu, Krasińskim, Sienkiewiczu, królowej Jadwidze, Kościuszce i o Polsce w ogóle, są znane. O wpływie, jaki miał na nią Naganowski, i pomocy, której jej udzielał, sama pisała kilkakrotnie.

Stanisław Helsztyński, autor wydanej w r. 1938 broszury „Anglofil Edmund Naganowski" (która niestety nie uwzględnia zupełnie działalności społecznej, a w znacznym stopniu i pisarskiej Naganowskiego) przytacza w niej urywki z listu z dnia 11 listopada 1937 r., który otrzymał od p. Gardner:

„Poznałam p. Naganowskiego w r. 1899. Wprowadził go do naszego domu ktoś ze znajomych wtajemniczonych w to, jak bardzo interesuję się Polską. Zaczął mi pożyczać książki o swej ojczyźnie i opowiadał o niej dużo rzeczy. Wnet też pod jego kierownictwem, a właściwie przeważnie z jego pomocą, zabrałam się do nauki języka polskiego, a także literatury, tym bardziej że mój nauczyciel był zapalonym wielbicielem Krasińskiego. Z czasem zaczęłam brać u niego regularne lekcje polskiego. Nie wiem czy udzielał ich także innym, ale chyba nie, prawie na pewno nie, bo w owych czasach, kiedy Polska była wykreślona z map Europy, nikt nie odczuwał potrzeby uczenia się języka polskiego.

„Co się tyczy jego osobowości, był to człowiek czarującego obejścia i niezwykłego umysłu, interesujący i zdolny narrator. Zanim opuścił Anglię, wyjeżdżając do Lwowa, pisał korespondencje do polskich wydawnictw. Jego sytuacja materialna w Londynie była bardzo trudna, to też było powodem dlaczego opuścił nasz kraj.

„... Mogę tylko zaznaczyć, że wiązały mnie z nim uczucia najlepszej i najszczerszej przyjaźni".

W WALCE Z PRĄDAMI ROZKŁADOWYMI

Poza niedobitkami dawnej emigracji politycznej znaleźli się w tym czasie w różnych miastach angielskich, głównie w londyńskim East Endzie polscy emigranci zarobkowi, pochodzący z najuboższych warstw ludności. Zaczęli wśród nich rozwijać działalność agitatorzy pokroju międzynarodowego, niekiedy negujący samą zasadę niepodległości Polski, a także anarchiści. Wyrastające z tego niebezpieczeństwa zwróciły oczywiście na siebie uwagę Naganowskiego.

W jego korespondencjach angielskich spotykamy wyrazy pełne uznania dla działalności zmartwychwstańca ks. Adolfa Bakanowskiego, który w latach 1878—1880 był opiekunem duchownym emigracji polskiej w Londynie. Nabożeństwa polskie odbywały się wówczas w podziemiach kościoła św. Piotra na Farringdonie, który stał się świątynią głównie kolonii włoskiej w Londynie i ten charakter zatrzymał po dziś dzień.

Ks. Bakanowski w swych przemówieniach i kazaniach występował przeciwko tajnym organizacjom antyreligijnym i terrorystycznym, prowadzącym propagandę wśród robotników polskich. Działalności tej omal nie przypłacił życiem. Dnia 10 stycznia 1880 r., gdy odprawiał mszę przy głównym ołtarzu kościoła, dokonany został na niego zamach, którego sprawcą był Włoch ze Szwajcarii, Aleksander Scossa. Scossa, znajdujący się wśród publiczności w kościele, kilkakrotnie strzelił do ks. Bakanowskiego, jednak chybił i został ujęty. Proces, jaki potem się odbył, wykazał, że Scossa działał z ramienia jednej z bardzo wówczas rozgałęzionych konspiracji anarchistycznych. Skazany przez sąd w Londynie na dożywotnie więzienie, zmarł w kilka lat potem na gruźlicę.

Osiedliwszy się w Londynie, Naganowski nie zaniedbał tutejszego polskiego życia organizacyjnego. W r. 1882 powstało w stolicy Anglii Towarzystwo Robotnicze, w którym — obok dawnych zasłużonych działaczy takich jak Tolkemit, były sierżant w szeregach Kossutha, — znaleźli się także przedstawiciele międzynarodowej skrajnej lewicy. W r. 1886 dzięki Naganowskiemu zaszła zmiana na lepsze: zmieniono statut i usunięto wszystko, co trąciło międzynarodowością. Nazwę przekształcono na ogólniejszą: Związek Polski (później wyrosło z niego Towarzystwo Polskie), by organizacja objąć mogła Polaków z wszystkich warstw społecznych. Urządzono Kasę Chorych i Kasę Bezrobocia, nawiązano stosunki z Towarzystwem Literackim Przyjaciół Polski. Do dosyć obszernego lokalu Związku przy Clerkenwell Road schodzili się członkowie, których było kikudziesięciu; powstała biblioteka licząca 200 tomów, prenumerowano też pisma.

NAGANOWSKI JAKO KORESPONDENT

Już w czasie pobytu swego w Irlandii Naganowski zasilał korespondencjami, których tematem była oczywiście także Anglia i jej życie, szereg czasopism polskich w kraju, w szczególności „Bibliotekę Warszawską", „Ateneum", „Kłosy", „Słowo", „Kraj". Kontynuował tę działalność i po przesiedleniu się do Londynu. Korespondencje świadczą o jego szerokiej skali zainteresowań i przynoszą wiele ciekawego materiału; dużo uwagi poświęca Naganowski zjawiskom z zakresu kultury, notuje też skrzętnie wszelkie polonica (o życiu emigracji polskiej, o występach artystów polskich w Londynie itd.). Miał kilka pseudonimów; najczęściej podpisywał się jako „Latarnik".

Następcą jego jako autor dobrych korespondencyj z Anglii był po r. 1898 dr Nekanda Trepka.

Był też Naganowski współpracownikiem kilku pism angielskich, gdzie starał się poruszać tematy polskie i prostować mylne wyobrażenia o Polsce. Pisywał listy do redakcyj dzienników, przeprowadzając całe batalie w obronie jej praw.

POWIEŚĆ AUTOBIOGRAFICZNA

Wiele rysów autobiograficznych znajdujemy w drugiej powieści Naganowskiego „Anglia wszechmożna" wydanej w r. 1891 we Lwowie (nakładem Gubrynowicza i Schmidta). Autor posuwa się tak daleko w swej ścisłości autobiograficznej, że bohaterowi powieści, Kazimierzowi Rogowskiemu daje panieńskie nazwisko swej matki. W powieści tej Naganowski opisuje życie bezrobotnego inteligenta cudzoziemca w Londynie tych czasów, kiedy zdarzało się, że ludzie umierali z głodu. Kazimierz Rogowski pokonywa jednak wszystkie przeszkody i w końcu powieści łączy się węzłem małżeńskim z młodą Angielką, Sylwią, córką baroneta. Powieść nie ma jakichś pretensji artystycznych, ale jest interesująca przez swą charakterystykę świata angielskiego, w szczególności zaś Londynu pod koniec ubiegłego stulecia.

Żona Naganowskiego Katy była zresztą pochodzenia mieszanego: ojciec był Polakiem, który ongiś walczył w powstaniu węgierskim r. 1849, matka Angielką. Jedyny ich syn Konrad poległ w czasie pierwszej wojny światowej jako marynarz angielski.

POWRÓT DO POLSKI

Po blisko trzydziestu latach pobytu za granicą, głównie w Irlandii i Anglii, w Naganowskim zwycięża tęsknota za krajem. W r. 1903 osiedla się we Lwowie i zostaje współpracownikiem czołowego organu narodowo-demokratycznego „Słowa Polskiego". Sam zapisuje się do Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego jako najbardziej mu ideowo od wielu lat odpowiadającego.

W czasie wojny rosyjsko-japońskiej reorganizuje całą obsługę informacyjną „Słowa Polskiego" w kierunku oparcia się nie tyle na źródłach niemieckich i austriackich, co wówczas było regułą w prasie galicyjskiej, ile angielskich.

Na łamach „Słowa Polskiego" pojawił się w r. 1909 jego artykuł o skautingu angielskim. Był to pierwszy głos na ten temat w ogóle w Polsce. Znalazł on niezwykle silne echo i stał się bodźcem do stworzenia organizacji harcerskiej wśród młodzieży polskiej.

W r. 1905 Naganowski zostaje dyrektorem Fundacji im. Baworowskich we Lwowie i na tym stanowisku pozostaje do śmierci. Umiera w dniu 28 stycznia 1915 r. w wieku 62 lat, nie doczekawszy się wyswobodzenia Polski.

Przez swą działalność i wysiłki Naganowski w pełni — zwłaszcza w dziedzinie kultury — zasłużył na miano jednego z ambasadorów Polski niewolnej, ale już znowu zrywającej się ku wolności.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

NARÓD NIE DO POKONANIA

Stefan Korboński: W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ... Instytut Literacki. Paryż 1954. Stron 492. Cena 25/-.

Ilość pamiętników i książek, oświetlających dzieje lat okupacji niemieckiej i walki podziemnej, jest już spora. Oprócz książki gen. Bora-Komorowskiego „Armia Podziemna" i Stypułkowskiego „W zawierusze dziejowej", mamy także płk Rokickiego „Blaski i cienie bohaterskiego pięciolecia", gen. Rudnickiego „Na polskim szlaku", zbiorowy tom „Armia Krajowa", niedawno wydane „Drogi cichociemnych", wreszcie szereg luźnych artykułów i wspomnień rozsianych po całej prasie polskiej, pozwalający spojrzeć na ten okres z wszystkich stron. Warto też dodać wstrząsające pamiętniki Podlewskiego „Przemarsz przez piekło" wydane w kraju. Wartość historyczna wymienionych wspomnień może być różnie oceniana, ale nie ulega wątpliwości, że stanowią one cenny wkład do dziejopisarstwa naszego.

Do tego grona dokumentów epoki dochodzi obecnie książka mec. Stefana Korbońskiego, działacza ludowego, który w czasie okupacji odegrał dużą rolę jako szef walki cywilnej. Nosi ona tytuł „W imieniu Rzeczypospolitej...", pochodzący od formuły wyroków sądowych, jakie ukryte w podziemiu państwo polskie wydawało na wykraczających przeciw podstawowym obowiązkom patriotycznym osobników (szczęściem nielicznych). Działalność sądów polskich w podziemiu była jednym z przykładów, jak potrzeby życia wpływają na kształtowanie prawa. Charakterystyczna jest tu rozmowa z dziekanem warszawskiej rady adwokackiej, Leonem Nowodworskim, przewidzianym na departament sprawiedliwości delegata rządu. Jego poczucie prawne buntowało się przeciw wydawaniu wyroku śmierci na człowieka, bez wysłuchania go, a jednocześnie zdawał on sobie sprawę, że Polska musi karać zdrajców, jeśli zajdzie potrzeba. Starajmy się zrozumieć te skrupuły przedstawiciela tak wybitnej rodziny prawniczej (stryj, Michał Nowodworski, biskup płocki, był wybitnym znawcą prawa kanonicznego; drugi, Franciszek, był pierwszym prezesem sądu najwyższego; trzeci, Stanisław, ministrem sprawiedliwości; czwarty, Jan, prezesem naczelnej rady adwokackiej).

Leon Nowodworski, jeden z pierwszych organizatorów działalności polityczno-wojskowej pod okupacją, chciał służyć Polsce i jednocześnie pozostać w zgodzie z fundamentalnymi zasadami sprawiedliwości. Oto jego słowa, przytoczone przez Korbońskiego:

„Jeżeli Delegat poleci mi organizowanie tych sądów, polecenie wykonam. Muszę jednak przyznać, że nie mam serca do tej roboty, poza tym wszystko w moim departamencie nastawiłem na pracę w przyszłości, to jest na zorganizowanie przyszłego sądownictwa w odrodzonej Polsce. Ze swej strony proponowałbym, by sądownictwo aktualne zorganizowało K. W. C. (Kierownictwo Walki Cywilnej) we własnym zakresie, gdyż, o ile się orientuję, panów znów nie interesuje praca dla przyszłości, a tylko bieżąca walka. Chętnie natomiast pomogę przy opracowaniu regulaminów, instrukcji itd." (str. 124).

Dobrze świadczy o społeczeństwie polskim, że wyroków śmierci na zdrajców było stosunkowo mało — dobrze, bo znaczy to, że tylko wyjątki, zdarzające się nawet w normalnych stosunkach, wyłamywały się z zwartego i ożywionego najwyższym patriotyzmem żywiołu polskiego, a także dlatego, iż świadczy to o oględnym, i z poczuciem moralnej odpowiedzialności, ferowaniu wyroków. Autor przypomina przy okazji omawiania kolaboracjonizmu „głośną i przykrą sprawę pisarza Ferdynanda Goetla, oskarżonego o współdziałanie z wydziałem propagandy dystryktu warszawskiego", która „została odłożona do rozpatrzenia po wojnie", oraz Józefa Mackiewicza (brata Cata), „współpracownika gadzinówki niemieckiej, wydawanej w Wilnie", za co „jakieś orzeczenie zostało wydane i następnie ogłoszone w zimie 1942-43 roku, w jednym z numerów „Niepodległości", organu wileńskiego A. K." (str. 143-4). Korboński daje wyjaśnienie, dlaczego porusza te przykre sprawy: „Nie mogę pogodzić się z myślą, by sprawy, dla których wyświetlenia ludzie z podziemnego wymiaru sprawiedliwości nieraz ginęli, poszły kiedykolwiek w niepamięć i by opinia Kraju co do nich była tak lekceważona".

Ze swej strony uważam za potrzebne przypomnieć, że p. Goetel, obecnie jeden z filarów systemiku p. Zaleskiego, nie tylko pisuje w paru pismach londyńskich, lecz nadto, przed dwoma laty, odważył się na łamach jednego z pism polskich w Stanach Zjednoczonych wystosować wielki akt oskarżenia przeciw działalności politycznej pod okupacją... zarzucając jej brak patriotyzmu. Z podsądnego — prokurator!

Najciekawsze są części poświęcone łączności radiowej KWC z Londynem. Poświęcenie, niejednokrotnie bohaterstwo, opłacone życiem, wielka pomysłowość i zaradność ściganych pracowników łączności — wszystko to znalazło słowa uznania nie tylko autora, ale musi budzić podziw również każdego czytelnika. Okazuje się z tej książki, że w latach wojny byliśmy wszyscy w zasięgu słowa Korbońskiego, który jako szef łączności radiowej ustalał co ma być nadawane do Londynu. Mistyfikacja z radiostacją „Świt", udającą stację krajową, a w rzeczywistości nadającą na antenie kierunkowej z Anglii, należy do niezliczonego szeregu dowcipnych pomysłów polskich. Słuchacze komunikatów z powstania warszawskiego dowiedzieli się nazwiska oficera brytyjskiego, walczącego w Warszawie, o którym wówczas często wspominano. Był nim por. Ward, który udowodniwszy w drodze radiowej swoją identyczność, został „korespondentem" „Timesa" z powstańczej stolicy Polski.

Ocena nastrojów walczącego kraju, niezwykła solidarność całego społeczeństwa, niepokonana chęć istnienia narodu, zostały opisane obszernie i przekonywająco. Do spraw dziś zapomnianych bądź przemilczanych, należą nastroje zdecydowanej niechęci

do systemu sanacyjnego, przejawiające się wyraźnie w pierwszych latach okupacji, a później zaznaczone w uchwałach Rady Jedności Narodowej z 15 marca 1944 r. Charakterystyczne momenty zdarzały się przy zetknięciach przedstawicieli kół wojskowych z działaczami ruchów politycznych. Zdawano sobie wzajemnie sprawę z konieczności harmonijnego współdziałania, i na ogół, trzeba to przyznać, większych tarć nie było. Tendencje polityczne pewnych kół wojskowych, o ambicjach chwycenia władzy, przejawiały się w podziale zadań między walkę cywilną i wojskową, przy czym najjaskrawszą sprawą było powołanie bez wiedzy delegata rządu Kierownictwa Walki Konspiracyjnej przez Komendę Główną AK, jako konkurencji dla Kierownictwa Walki Cywilnej. Dzięki jednak taktowi delegata Jankowskiego i gen. Grota-Roweckiego sprawę załatwiono kompromisowo. Autor odkrywa tu kulisy, które według niego pokrył brązem, ale tak niedokładnie przedstawił tom III wydawnictwa Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej pt. „Armia Krajowa".

Stosunkowo najsłabiej przedstawiona jest działalność polskich ruchów politycznych, tak niezwykła i ożywiona pod okupacją. Nawet działalność Stronnictwa Ludowego, do którego autor należy, zarysowana jest tylko ogólnie, a zetknięcia się z jego działaczami ograniczają do paru zaledwie osób. Wytłumaczeniem tu może być, że Korboński działał głównie w Warszawie, gdzie tylko szczyty tego ruchu się znajdowały. Jeżeli mamy w książce lud, to jest to przeważnie warstwa robotniczo-rzemieślnicza, miejska. Korbońskiego łączyła przyjaźń osobista z kilku działaczami socjalistycznymi, zwłaszcza Dubois, i stąd zapewne o działalności PPS dowiadujemy się z książki więcej, niż o innych partnerach władz Polski podziemnej. W warunkach ścisłej konspiracji, w której z natury rzeczy kontakty muszą być ograniczone do zetknięć z pojedynczymi przedstawicielami innych ugrupowań, trudno jest obserwować rozwój pojęć i idei ożywiających ruchy polityczne. Nawet prasa podziemna, ze względu na trudności kolportażu i przymusową dyskrecję w sprawach organizacyjnych czy personalnych, nie daje dostatecznego materiału do pełnej oceny. Stąd więc szkicowe tylko zaznaczenie działalności politycznej PPS i Stronnictwa Narodowego, nie mówiąc już o nie tak masowym Stronnictwie Pracy czy ugrupowaniach mniejszych. Niemniej o działaczach Stronnictwa Narodowego są liczne i pozytywne wzmianki. Z Leonem Nowodworskim, zapoczątkowującym system walki podziemnej, Dębskim, Trajdosem i Sachą autor spotykał się dość często i pomimo różnic politycznych współpracował z nimi w ramach uzgodnionej organizacji podziemia.

Książka wolna jest od zjadliwych napaści, tak łatwych wobec tych, którzy już nie mogą się bronić. Autor z taktem i umiarem ocenia szereg osób z polskiej konspiracji i wykazuje większą skłonność do widzenia w ludziach stron dodatnich raczej niż ujemnych. Odnosi się z wielkim szacunkiem do pamięci wybitnego działacza swego ruchu, marsz. Rataja, bardzo wysoko stawia odwagę, rozsądek i takt delegata rządu Jankowskiego, nie szczędzi pochwał, nie przymykając oczu na tendencje polityczne, gen. Grotowi-Roweckiemu, rozumie nadmierny ciężar odpowiedzialności, jaki przypadł prof. Piekałkiewiczowi (który, choć uginając się pod nim, przyjął go i traktował z wielką powagą). Sądy Korbońskiego cechuje szlachetność i tylko kilku, dla których pobłażliwości zabrakło, spotkały słowa krytyki. Jednym z nich jest niewątpliwie ciemna postać Józefa Niećki, intryganta i komunizującego działacza chłopskiego. Dalej, Stanisław Mikołajczyk, nielojalny nie tylko wobec Polski walczącej z bolszewizmem, ale nawet wobec własnych kolegów ze Stronnictwa Ludowego.

Pisaną językiem żywym i nieprzeciążoną dialogami książkę, czyta się jednym tchem. Jeśli nawet nie jest ona historią polityczną Polski podziemnej, to daje wiele materiału do niej i przedstawia dokument historyczny pierwszorzędnej wagi. Nie ma przesady w powiedzeniu, iż stanowić ona będzie pomnik poległych współpracowników Korbońskiego i trwałe odbicie wysiłków Polski walczącej. Z kart, na których śmierć jest towarzyszem codziennym, bije ku nam niezłomna wola życia narodu polskiego, niepokonanego i nie do pokonania.

J. Pl

NAOCZNI ŚWIADKOWIE

ESCAPE FROM PARADISE by Seven who escaped and one who did not. Editet by C. A. Smith. Hollis & Carter. Londyn 1954.

C. A. Smith zebrał siedem sprawozdań osób, którym udało się przebić przez żelazną kurtynę z terenu Rosji i krajów przez komunistów opanowanych i jedno sprawozdanie człowieka, któremu ta ucieczka się nie powiodła.

Dwa z tych sprawozdań pochodzą spod pióra Polaków, Mariana Czuchnowskiego i Stanisława Kozłowskiego (pseudonim). Wśród innych autorów są Rumunka, Hiszpan (El Campesino), Estończyk, Łotysz, Czech i Bułgar. Wstęp i epilog napisał C. A. Smith.

Poszczególne artykuły sprawozdania opisują przygody autorów w Rosji Sowieckiej i krajach satelickich. Obrazują życie człowieka przyzwyczajonego do względnej wolności, który zetknął się z nieludzkim terrorem, z systemem rządzenia, zmierzającym do wytępienia wszelkiej wolności narodowej, religijnej, osobistej. Otrzymujemy przekrój życia obywatela państw satelickich, który wbrew swej woli znalazł się w obrębie imperium sowieckiego i doświadcza na sobie w sposób dotkliwy wszystkich dobrodziejstw tego rzekomego raju jaki obiecują wprowadzić na ziemię komuniści.

Ten raj, skąd ludzie pragną uciec, to jedno wielkie morze cierpień, katuszy, nędzy, prześladowań i brutalności. To jedno wielkie więzienie, gdzie rozpętane zostały wszystkie moce zła, równające życie z koszmarem.

Ktokolwiek naraził się komunistom z tych czy innych przyczyn był torturowany i więziony. Rumunka Adriana Georgescu więziona przez długi czas i bita podczas przesłuchów, wspomina o aplikowanych w pożywieniu narkotykach, celem osłabienia woli aresztowanych i uczynienia z nich powolnych narzędzi w rękach prokuratora czy sędziego śledczego.

Najbardziej realistyczne i w grozie swej wstrząsające są opowiadania komunisty hiszpańskiego, uczestnika wojny domowej po stronie republikańskiej i byłego wychowanka sowieckiej akademii wojskowej imienia Frunzego, El Campesino. Właściwe jego nazwisko brzmi Walenty Gonzalez. El Campesino to po hiszpańsku chłop. Nie umiał się podporządkować bezkrytycznie władzom sowieckim, wydalono go więc z akademii i umieszczono w obozie pracy. Stamtąd zdołał uciec do Persji, ale został ujęty przez wysłanników NKWD w Teheranie, sprowadzony na powrót do Rosji, osadzony w więzieniu na Łubiance i skazany na 13 lat pracy przymusowej na Sybirze. Dzięki sprytowi i przebiegłości udało mu się przenieść na południe do Turkmenii, nad granicę perską, którą zamierzał po raz drugi przekroczyć potajemnie. Znowu dostał się w ręce policji, która wtrąciła go do lochu z wężami i szczurami, obecność ich miała udaremnić możliwość zaśnięcia i doprowadzić więźnia do stanu całkowitego rozstroju nerwowego. W tym lochu spędził przeszło miesiąc czasu. Po wielu innych przygodach znalazł się w Aszhabadzie podczas gwałtownego trzęsienia ziemi. Tysiące ludzi wtedy straciło życie, między innymi i więźniowie NKWD. El Campesino, sam raniony, obserwował, jak policjanci po tej katastrofie żywiołowej zabijali więźniów z pistoletów automatycznych,

ponieważ więzienie było zburzone. Wreszcie zrealizował plan ucieczki przez granicę perską. Towarzysza jego jednak dosięgła kula strażnika granicznego.

Wspomnienia z pobytu w Rosji Mariana Czuchnowskiego napisane są doskonale. W Kotłasie, w republice autonomicznej Komi, baraki obozu pracy zajmują przestrzeń 10 mil. Po umowie Sikorski—Stalin Czuchnowski był uwolniony z obozu, ponownie uwięziony i po raz drugi uwolniony. Ale życie wolnego człowieka w Rosji nie jest wiele łatwiejsze niż życie więźnia, jak się przekonał. Spędził jakiś czas w pewnym kołchozie, gdzie poza górną warstwą kierowników, pisarzy itd. ludziom było źle, panowały nędza, choroby, straszliwy wyzysk. W końcu Czuchnowski dotarł do Łunaczarska, gdzie w szpitalu polskim leczył się z tyfusu i innych dolegliwości. Tam wiosną 1942 r. odwiedził go Edward Ochab namawiając imieniem grupy komunistów polskich, aby przyłączył się do ich roboty polityczno-wojskowej, z której powstał późniejszy rząd lubelski i obecny reżim warszawski.

Historia Stanisława Kowalskiego brzmi trochę jak bajka. Jako młody chłopak aresztowany został w Polsce w 1940 r. i deportowany do środkowej Azji. Po dziewięciu latach nadzieje na powrót wydawały się zgoła nierealne. Przypadek zrządził, że podczas jednej z wypraw do stacji kolejowej odległej o wiele kilometrów od kołchozu, miejsca pracy Kozłowskiego jako listonosza, zetknął się z nim jakiś młody jeszcze stosunkowo człowiek, z którym odbył dłuższą rozmowę na temat stosunków w Rosji. Po drodze zaskoczyła ich burza. Schronili się więc w jakiejś szopie, gdzie ku przerażeniu Polaka jego towarzysz dokonał życia. Z opowiadania wynikało, że był członkiem partii komunistycznej, raniony w obronie Stalingradu, odznaczony orderem za bohaterstwo i mianowany oficerem czerwonej armii. Nabawił się jednak choroby płuc i przez dłuższy czas leczył w szpitalach i sanatoriach. Miał on wkrótce objąć wysokie stanowisko w fabryce traktorów w Czelabińsku.

Kozłowski zabrał zmarłemu papiery osobiste: dowód zwolnienia z wojska, kartę członkowską partii komunistycznej, dowód osobisty, bilet do Czelabińska i nakaz stawienia w fabryce traktorów, w której ostatecznie pod przybranym nazwiskiem objął stanowisko wcale wpływowe. Od dyrektora fabryki otrzymał polecenie obserwowania pracowników i urzędników pod kątem widzenia ich użyteczności politycznej i jako pracowników. Z tej nieprzyjemnej misji Kozłowski wywiązywał się w ten sposób, że denuncjował najzagorzalszych komunistów i gorliwców w popędzaniu robotników. Ucieczkę na Zachód umożliwiło wysłanie Kozłowskiego do Polski w misji urzędowej.

Również w opowiadaniu Łotysza Wilksa znajdujemy sporo szczegółów o Polsce i Polakach. W pierwszych latach powojennych istniało przekonanie, że rządy komunistyczne Bieruta będą krótkotrwałe i że wybory parlamentarne ujawnią prawdziwe nastroje społeczeństwa. Oto, jak autor określa Polaków: pełni namiętności, zazdrośni, wybuchowi, przesądni, pełni poświęcenia, bohaterscy i mądrzy. Kościół w tym okresie prowadził ostrą i otwartą wojnę z komunizmem. Autor słyszał sam kazanie jakiegoś młodego księdza, który wzywał do walki z czerwonym diabłem i zapowiadał rozpętanie przez „panów warszawskich" burzy w Polsce. Zmiecie ona ich z powierzchni. Ksiądz został tego jeszcze dnia aresztowany. Ten sam los spotykał wielu innych księży w owym czasie.

W epilogu Smith ostro gromi politykę moralnego i politycznego „containment" Zachodu i wzywa do energiczniejszej walki z komunizmem. Bez wolności nie ma sprawiedliwości, bez sprawiedliwości nie ma pokoju — stwierdza. I wysuwa tezę, że obowiązkiem wolnych narodów jest zachować wolność tam, gdzie ona istnieje i przywrócić ją tam, gdzie została zniszczona. **(m. ost.)**

BROSZURA KONGRESU O POLSCE

83d Congress, 1st Session, Senate, Document No. 70, Part 5. Tensions within the Soviet Captive Countries. Poland. Prepared at the request of the Committee on Foreign Relations by the Legislative Reference Service of the Library of Congress. Presented by Mr. Wiley. United States Government Printing Office. Waszyngton 1954. Stron 30 i VIII. I mapka.

Opracowana przez Bibliotekę Kongresu dla użytku parlamentarnego broszura o położeniu w Polsce sumuje na kilkudziesięciu stronach informacje i oceny raczej ostrożnie i obiektywnie. W przedmowie Alexander Wiley podkreśla szczególną rolę Polski wśród państw oddanych Sowietom i szczególne więzy łączące z Polską naród amerykański. Broszura omawia kolejno tło historyczne, opór chłopów przeciw kolektywizacji, trudności reżimu z robotnikami, prześladowanie Kościoła, konflikty w partii komunistycznej, walkę o młodzież. Przegląd robiony jest pod kątem „napięć" między reżimem a społeczeństwem i doprowadzony jest mniej więcej do końca 1953 r.

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO

WYJAZD PREZ. BIELECKIEGO DO AMERYKI

Przewodniczący Rady Jedności Narodowej prez. T. Bielecki wyjechał 10 bm. do Ameryki.

Wyjazd jego ma na celu odbycie rozmów z politycznymi kołami amerykańskimi na temat sytuacji międzynarodowej, w szczególności położenia krajów pod okupacją sowiecką. Jest to trzecia z kolei podróż prez. Bieleckiego do Stanów Zjednoczonych. Liczne stosunki i znajomości nawiązane w toku poprzednich dwóch pobytów ułatwią mu niewątpliwie docieranie do głównych ośrodków decyzji politycznych, co w warunkach działania na emigracji nie należy do zadań prostych. Będzie też miał za sobą powagę Rady Jedności Narodowej, której jest przewodniczącym.

Inne ważne problemy z jakimi prez. Bielecki wyjeżdża, dotyczą spraw wewnętrznych Polski. Na samym początku swego pobytu odwiedzi gen. Kazimierza Sosnkowskiego, który jak wiadomo przenosi się do Waszyngtonu. Odbędzie również konferencje z wybitnymi działaczami wszystkich kierunków politycznych na tematy związane z powołaniem do życia w Ameryce Oddziału Tymczasowej Rady Jedności Narodowej, przewidzianego w Akcie Zjednoczenia. Ostatnie posiedzenie Rady Jedności Narodowej wykazało, że mówcy na wszystkich ławach przywiązywali jak największe znaczenie do tej sprawy, która także ściśle wiąże się ze skoordynowaniem politycznych działań z ofiarnym i patriotycznym dorobkiem oraz planami Polonii amerykańskiej w dziedzinie walki o wyzwolenie Polski.

We wszystkich tych sprawach odbyła się w ostatnich dniach seria konferencji politycznych w Londynie.

Dwukrotnie prez. Bielecki przyjęty był przed swym wyjazdem przez Radę Trzech — gen. W. Andersa, prez. T. Arciszewskiego i amb. E. Raczyńskiego. Ponadto odbyły się dwie konferencje prezesów klubów wchodzących w skład Rady Jedności Narodowej. W drugiej konferencji uczestniczyli członkowie Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego z dr R. Odzierzyńskim na czele. Przy tej okazji Egzekutywa przedstawiła swój pogląd na formy działania polskiego w Stanach Zjednoczonych.

Przed swym wyjazdem prez. Bielecki złożył wizyty czynnikom brytyjskim i odbył rozmowy z parlamentarzystami brytyjskimi, zarówno do

Izby Gmin jak i do Izby Lordów. Widział się również z przedstawicielem Wysokiego Komisarza Kanady w Londynie.

Na dworcu odjeżdżającego prez. Bieleckiego żegnał przedstawiciel Egzekutywy oraz grono członków Rady Jedności Narodowej i przyjaciół.

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI

Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii urządziło w niedzielę 7 bm. w sali St. Pancras Town Hall uroczysty obchód święta niepodległości. Zagaił obchód prezes Zjednoczenia p. S. Lis, przemówienie wygłosił dr M. Grażyński. W części artystycznej wystąpili chór im. K. Szymanowskiego, zespół taneczny im. O. Kolberga przy Kole SPK Nr 11 oraz orkiestra symfoniczna przy Kole SPK Nr 30. Dochód przeznaczony został na szkołę sobotnią nauczania przedmiotów ojczystych.

DENDE ZNOWU ARESZTOWANY

Wielki dziennik polonijny, nowojorski „Nowy Świat" doniósł, że policja chicagoska aresztowała Leopolda Dende pod zarzutem zabójstwa. Przejechał on samochodem na ulicach Chicago dnia 1. 11. 1936 r. 67-letniego Antoniego Czaję, zabrał go do samochodu rzekomo po to, by odwieźć go do szpitala i po drodze ciężko rannego człowieka wyrzucił w jakimś zakątku zabudowań. Czaja zmarł. Aresztowany Dende został zwolniony za kaucją w wysokości 3.000 dolarów i zbiegł z Chicago. Następnie został aresztowany w stanie Pensylwania i skazany za rabunek z bronią w ręku.*) Ten wyrok odsiedział.

Komentując wiadomość o aresztowaniu Leopolda Dende, paryskie „Słowo Polskie" pisze: „Ten osobnik pierwszy występował na łamach swego tygodnika „Polish American Journal" przeciw stronnictwom Rady Politycznej z oskarżeniami w tzw. sprawie Bergu. To on był autorem bardzo przejmującego przezwiska „handlarze śmiercią", który tak kwitnie teraz na łamach publikacji z ośrodka p. Zaleskiego".

*) Donosiliśmy o tym napadzie w nrze 228 z 15. 7. 1953 r.

Z TEKI PANI MALINY

Malina Zaleszczycka
pułkownikowa dyplomowana
Earl's Court, 13. 11. 54

Jagodo Kochana,

I u Was wybierali i u nas były wybory. Ale nasze wybory były zupełnie inne niż amerykańskie. Bo u Was brały w wyborach udział dwie partie, a u nas żadna. U Was kandydowali sami politycy, a więc ludzie brudnych rąk, a u nas ludzie, przeciw którym nikt nie może wysunąć żadnych zarzutów, bo nikt ich nie zna. To znaczy ja znam trzech: jednego rotmistrza od ułanów, jednego admirała jeszcze z wojny japońskiej i jedną panią, która jest bardzo dobroczynna i nikomu niczego nie odmawia jeśli cel jest legalny.

Początkowo mieliśmy robić wybory także u Was, ale upatrzony na organajzera p. Leopold Dende wymówił się, że musi iść do więzienia. Powstał na tym tle wielki spór u nas w domu, bo Felicjan mówił, że Dende idzie do więzienia za przejechanie człowieka w Chicago, a major Wąż twierdził, że on przecież swoje odsiedział i wcale nie za przejechanie człowieka tylko za rabunek księdza i nie w Chicago tylko w Pittsburghu. Wyciągnęli atlas i zaczęli obliczać czy on mógł w tak krótkim czasie poranić jednego człowieka w Pittsburghu, a drugiego na śmierć przejechać i ułożyć w ruinie w Chicago. W końcu założyli się o cztery głębsze czy wypadek w Chicago zaistniał przed pierwszym więzieniem, czy po, i mają napisać do „Polish American Journal".

Mieliśmy więc tylko wybory strefowe, to znaczy jednej piątej, a cztery piąte będą wybrane per procura, czyli z Prerogatywy Osobistej. W naszej Strefie najwięcej głosów wpłynęło z okręgu, któremu przewodniczy major Jackowski, było ich 413, a wszystkie podpisane J. Cholewa. Pozytywne także wyniki miał major Szynel, który dowodzi obozem magazynierów. Wygłosił on krótkie żołnierskie przemówienie do magazynierów, w którym podkreślił: „Tu jest obóz prawie wojskowy brytyjski. Macie mój brytyjski rozkaz głosować na mnie w niedzielę. Zbiórka na starym miejscu przed urną o godzinie 0915 Hours".

W niedzielę rano, kiedy jeszcze wszyscy znajdowaliśmy się w stanie organizacyjnym, dzwoni i przychodzi Szmatkowski. „Ubierajcie się, powiada i chodźcie zaraz na mnie głosować." „Po co?" — pyta Felicjan. „żeby przyczynić się do zachowania państwa polskiego na Obczyźnie, do obrony granic, przywrócenia moralności i udziału szerokich warstw w Radzie Rzeczypospolitej." „Ale po co na Pana?" „No, bo Puklerz-Gumkowski ma już zapewnione sześć głosów samych lokatorów, a ja mam dopiero dwa głosy i swój, to jak wszyscy pójdziecie będę miał osiem głosów i wygram, a ten stary wojak z armii zaborczej przegra."

Ale nie wygrał ani Puklerz, ani Szmatkowski, bo Doktór Gaduła, prezes polskich buddystów, przyszedł o pierwszej pod Brompton Oratory i zaczął rozdawać dolną część Orędzia, a wszyscy myśleli, że to Litania i chcieli mu dawać Wsparcie, ale on zamiast tego prosił tylko o podpisy na białych karteczkach i zebrał ich 23. Teraz naturalnie Szmatkowski i Puklerz wejdą z Prerogatywy Osobistej.

Nie martwimy się bardzo tym, że nie ma już Biura, bo Felicjan osiągnął właśnie wiek asystenta. Teraz otrzymuje zapomogę brytyjską i jest w pełni niezależny od obcych środków pieniężnych i samozwańczych agentur.

Jeślibyś mogła przysłać nam parę dolarów w liście, przydałyby się niezmiernie.

Z niepodległościowym pozdrowieniem,

Twoja
Malina

ZALEGANIE Z PRENUMERATĄ POWODUJE WSTRZYMANIE WYSYŁKI

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata: półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie 3 dol.).

Printed for „Myśl Polska" by Gryf Printers (H. C.) Ltd.. 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11, tel. BAT 0879. 15 November 1954